KRZESANICA

ORGAN SEKCJI TATERNICKIEJ KLUBU SPORTOWEGO „TATRY“

NR. 2. R. I.



ZAKOPANE 1933

NAKŁADEM SEKCJI TATERNICKIEJ KLUBU SPORTOWEGO „TATRY“

KRZESANICA

ORGAN SEKCJI TATERNICKIEJ KLUBU SPORTOWEGO „TATRY“ W ZAKOPANEM

Nr. 2. ZAKOPANE, CZERWIEC 1933 R. R. I.

KOZI WIERCH

22. VI. 1926 r.

Z Hali Gąsienicowej ku olbrzymim usypiskom i śniegom, wypadającym z pod Koziej Przełęczy Wyżniej. Z pp. X i Y. Pod pierwszą wielką i mokrą przewieszką na ścianę Koziego Wierchu. Po sforsowaniu pierwszych najtrudniejszych partyj ściany (pod piarżysty zachodzik) cofanie się. Towarzysze odmówili pójścia dalej — ja zaś wybity z sił nie mogłem ich „wyciągać“. Uważam „drogę“ tę za jedną z najtrudniejszych ze znanych mnie. Jest bezwzględnie trudniejsza od Zamarłej Turni (pd. ściany).

— — — — — — — — — — — — — — — — —

4. VII. 1926 r.

Próba wyjścia na Kozi Wierch pn. ścianą: po pokonaniu progu — towarzysz mój odmawia pójścia dalej. Należy więc wracać się.

— — — — — — — — — — — — — — — — —

5. VII. 1926 r.

Trzeci i ostateczny szturm do pn. ściany Koziego Wierchu — zakończony triumfem.

Z dna Koziej Dolinki, zasypanej piargami i śniegami, wyrastają wśród muru skalnego dwie potężne baszty: Kozie Czuby i Kozi Wierch. Lite — czarne — z ubogą rzeźbą — uwieńczone śniegami — mokre — słońce dociera do nich na chwilę, oświetlając niewielkie fragmenty — reszta, t. j. większość pozostaje czarna — ponura — nietknięta tu promieniami słońca. Oddzielone od siebie wąską szczerbą Koziej Przełęczy Wyżniej (zasypany śniegami i nietknięty nogą ludzką w wyjściu — parokrotnie przewieszający się żleb). Pn. ściana Koziego Wierchu różni się od swojej siostrzycy z Kozich Czubów tem, że jest uboższa w rzeźbę — jakoś niewyraźna — zupełnie pionowa oddołu — z płytkiem wgłębieniem u góry — czarna — ponura — odstręczająca. Żadnej wybitnej rysy na sobie — prócz olbrzymiego przewieszonego zębu na pn.-wsch. stronie.

Z taternickiego punktu widzenia: dolne partje charakteryzuje brak chwytów zadzierżystych — wszystko gładkie — zaokrąglone — niewyraźne — nijakie — górne partje kruche.

Godz. 8 rano. Z towarzyszem swym (p. T. F.) wychodzimy ze schroniska i idąc wolniutko docieramy na górne piętro Koziej Dolinki. Odpoczynek. Ogromnem usypiskiem piargów między śniegami dogóry pod ścianę Koziego Wierchu. Rozpadliną między śniegiem i ścianą ku górze do ujścia żlebu z Koziej Przełęczy Wyżniej. Olbrzymia dziura pod śniegiem — trawers na śnieg i do poprzecznej rozpadliny w śniegu. Ogarnia nas chłód czarnego, ponurego żlebu. Nad nami staje dęba śnieg przewieszony progiem. Krok w powietrzu na ledwo wystające gzymsiki na ścianie Kozich Czubów. Przeciskamy się parę kroków ku górze. Chłodno — ciało dygoce w wilgoci i zimnie. Wiążemy się liną. Ciężko pracuje mój towarzysz czekanem, trawersując twardy śnieg. Miarowo przebieram linę asekuracyjną — wreszcie dotarł do rozpadliny między ścianą Koziego Wierchu, a śniegiem. Jeden wysterek skalny łączy i ułatwia przejście na ścianę — po obu stronach wielkie szczeliny wieją mrokiem i chłodem.

Jesteśmy na ścianie. Mokre, wygładzone gzymsiki doprowadzają nas poziomym trawersem w lewo do stopnia mokrego i piarżystego — na głowę pada prysznic wody z przewieszonych ścian. Wejście zagradza pionowy próg — pęknięty — trzy rysy. Zdejmuję buty — trzewiczki na nogi — haki i młotek na szyję i w szalonej i wytężającej wspinaczce zagarniam próg pod siebie. W minjaturowej niszy tkwi hak pierwszych zdobywców. Stopień pochyły — nie daje zabezpieczenia. Ekspozycja wielka. Plecak i czekany jadą za mną na linie. „Wyciągam" towarzysza. „Droga" prowadzi w lewo. Jest to wąziutki, chwilami prawie zatracający się, trawiasto-skalisty gzyms w olbrzymiej, niemal absolutnej ekspozycji. Dochodzę nim do końca. Tu hak drugi — wbity przeze mnie podczas pierwszej próby wyjścia.

Teraz pionową, nieco przewieszoną ścianką, pozbawioną chwytów, do wysterku skalnego wielkości bochenka chleba. Staję na nim. Trudno — o ekspozycji już nie mówię. Kamień nie uderzając ani razu o ścianę pada prosto na śnieg. Z cypla górną częścią ścianki — po maleńkich pęknięciach z 5—6 metrów ku górze. Ścianka gładka — chwyty skąpe. Lina zacina się. Więc wbijam hak (b. słabo wchodzi — jest to bardziej „moralna" asekuracja). „Metr liny", ryczy towarzysz zdołu. Zdrewniałem. Ja muszę mieć jej z pięć metrów jeszcze. „Rób, pan, co chcesz, ja muszę mieć chociaż trzy". — „Nie mam". — „Musi być — inaczej katastrofa". — „Masz, pan". Przylgnąłem do gładkiej ściany, dla nóg oparcie szerokości dwóch-trzech palców — ciało dygoce z przemęczenia — czuję tętno katastrofy — nieznacznym ruchem opuszczam rękę i ujmuję linę, by ją podciągnąć — lina zacięła się — ani

jej ruszyć — nie puszcza mnie. Towarzysz oddołu robi wszelkie wysiłki — odbezpiecza się — dowiązuje zapasową linkę i wreszcie wyciągam jej trochę. Teraz szalenie trudne podciągnięcie się: po gładkiej zupełnie ściance na jej górną krawędź, gdzie znajduję oparcie poziome dla dłoni. Rzut wgórę: wysiłek woli — nerwów — mięśni — zdecydowany — obliczony — spokojny — taki, co musi udać się... Ścianka pode mną. Przede mną wspaniały taras — pyszne miejsce — rajskie schronisko — wymarzony cud. Jeszcze jedno podciągnięcie i coś ze straszną siłą pociągnęło mnie nadół. W miejscu prawie zupełnie gładkiem. Jest jeden jedyny, boczno-dolny chwyt dla lewej ręki i niewyraźna łyżeczka pod lewą nogę. Zacięła się lina. Długi, straszny kwadrans upłynął — nim wbiłem hak, wisząc niemal w powietrzu — nim towarzysz wyszarpał dla mnie parę metrów liny, przebywając udołu trawers. Nareszcie — co za rozkosz na bezpiecznym tarasie. Wyciągam z mozołem p. Tadeusza — rzeczy zostały na progu przy haku — liny zabrakło. „Jutro pójdzie się po nie“, decydujemy.

W prawo i w lewo w wielkiej ekspozycji pod odpękniętemi skałami do wściekłego, u dołu nieco podciętego komina. Na całą długość liny kominem — kruchym, z minimalną ilością chwytów — lecz z dobremi miejscami do zapierania się. Siadam okrakiem na maleńkie siodełko u jego górnego końca. Ekspozycja wielka. Przewieszone ścianki nad głową, po lewej stronie pion — zupełny — absolutny pion. Parę luźnych want, po których trzy kroki w lewo — widok na Murań osłoneczniony, radosny. Jesteśmy na wschodniej grzędzie — łatwo dość — lecz krucho i ekspozycja. Grzędą dogóry parę długości liny. Dwa razy przewieszone głazy i: „Hurraa — Kozi Wierch nasz!“ — Powrót o 8-ej do schroniska.

Całą ścianę prowadziłem. Dokonane przez nas wyjście zdaje się, że jest trzecie — trudności w dolnych partjach nadzwyczaj wielkie — stanowczo trudniej, niż na pd. ścianie Zamarłej Turni. Ekspozycja przez cały czas olbrzymia — w dolnych partjach. Ściana nie daje rozkoszy wspinania — jest ponura i groźna.

— — — — — — — — — — — — — — — — —

6. VII. 1926 r.

Poszliśmy po zostawione graty na progu. Odpędził nas deszcz — grzmoty i błyskawice. O 5-ej poszliśmy drugi raz. Pogoda dobra. Zaledwie dotarliśmy do śniegu lunął deszcz i wściekły, zimny wiatr powiał. Leciuteńko ubrani (ja tylko w sportowej koszulce) przemarzliśmy momentalnie. W rękach „nie czuje się czucia“. Nie można opanować febrycznych drgawek ciała. Ściana mokra — leje się z niej woda. Co będzie z progiem? O zdjęciu butów — co tam i gadać. Próbuję progu raz i drugi i trzeci. Wreszcie podnoszę się: skała mokra. Wolniutko podciągam się: i — ręce zdrętwiałe nie znajdują oparcia. Źle kute

(pożyczone) buty spełniają funkcje nart na szreni. — Czuję, że odpadnę za chwilę. — Chcę cofnąć się. — Lewy but — doskonały do ślizgawki, lecz nie do wspinaczki — mgnienie oka i myśl: „Hak wytrzyma — czy nie?“ — straszne uderzenie w piersi i szarpnięcie liny — ból w lewej ręce i czuję jak skóra drze się. — Odpadłem. — Hak wytrzymał. — Towarzysz ciągnie linę z całych sił. — Poleciałem na trzykrotną długość swego wzrostu. — W piersiach, a właściwie w sercu — w które uderzyłem się — ból szalony — skręciłem się w kłębek — i wpiłem zęby w wargi. — Wolniutko podnoszę się — i wyłażę z pomocą liny. Chcę jeszcze raz po odpoczynku próbować progu — lecz czuję, że jest to szaleństwo — wracamy. Graty pozostały nagórze.

— — — — — — — — — — — — — — — — —

7. VII. 1926 r.

P. S. Mam pecha — Kozi Wierch. Pięć razy nie dopuszczał mnie do siebie i na siebie — gdy wreszcie uległ — to zemścił się. Nie mam żalu do niego — jest i tak w walce bardzo rycerski i uczciwy. Za nauczkę daną mi czuję dla niego wdzięczność. Spotkamy się jeszcze.

Mieczysław Szczuka

O NIEKTÓRYCH WYRAZACH

Niektóre wyrazy, używane zazwyczaj w opisach dróg skalnych, powinny być zmienione.

I tak wyraz r y n n a razi nieprzyjemnie, bo nie polski, a pozatem trąci podwórkiem miejskiem. Zastąpić go może ś c i e k w a, albo inne jak wytoka, korycina.

Wyraz n y ż a ma oddawna używany odpowiednik polski w n ę k a.

Zamiast p l a t f o r m y niekiedy poczęto używać p ł a ś n i a, płasienka, ale przecież jeszcze nie raz pojawia się platforma i platforemka. Tymczasem płaśnia jest wyrazem zupełnie odpowiednim i wystarczającym, a ponadto właściwym, bo gwarowym.

A teraz ów nieszczęsny c y p e l, z którymby raz już skończyć należało. Na wyrażenie pojęcia tego istnieje dosyć wyrazów polskich, z których da się wybrać odpowiedni w pewnym razie stosownie do potrzeby. A więc będą to wyrazy następujące: występ, wyskok, czubek, koniuszek, — dalej gwarowe jak: groń, gronik, wypór, styrźnik.

Wyraz śpiwór jest tak cudaczny, że nazwać go można murzyńsko-polskim, jakby go wymyślił murzyn, nauczywszy się coś niecoś polszczyzny. Czyż tego przyboru do spania nie można najlepiej określić wyrazem sypiak?

Co do wyrazu chwyt można mieć pewną wątpliwość, ponieważ oznacza on w zasadzie samą czynność ręki, a nie miejsce, które ręka ujmuje. Wobec tego, że wyraz ten w znaczeniu czynności mięśniowej jest powszechnie używany, nie można wypaczać jego znaczenia. Na wyrażenie zaś pojęcia owego miejsca, do którego zmierza chwyt da się użyć chwytka albo chwycina, jeżeli już nie wystarczy poprostu nasuwająca się na myśl sterczyna. Najlepszym wyrazem jest chwycina, albowiem wypowiada dobitnie znaczenie pojęcia.

Jak najniepotrzebniej już przed laty przynieśli do Tatr odwiedzający je ludzie dólscy grotę, która się rychło tak zadomowiła, że ją nawet przejęli sami górale, tak teraz spotyka się często tak bardzo rażące bloki. Przecież bez tego wyrazu można się najzupełniej obejść! Niejednokrotnie już wyraz kamień wystarcza na oddanie pojęcia, niesłusznie bowiem zapomina się o tem, że kamień może być nietylko mały, ale wielki i bardzo wielki. Wogóle wszędzie wypowie to, co ma znaczyć blok, wyraz głaz. Wprawdzie jeżeli chodzi o ścisłość znaczenia, ale tylko w gwarze góralskiej, głaz oznacza skałę nieprzystępną, wygładzoną, przecież znaczenie mimo to powszechnie w języku przyjęte musi przeważać. Są dalej wyrazy gwarowe wyborne, jak wanta, wantula, a w znaczeniu zbiorowiska w liczbie mnogiej wantule. Dodać tu muszę, że z wantulami spotkać się można nietylko w Dolinie Miętusiej, gdzie są nazwą miejscową, ale także gdzieindziej w Tatrach. Tak więc wogóle zbiorowisko głazów można nazywać wantulami.

W związku z tem nastręcza się sposobność do pomówienia o maliniakach. Otóż owe maliniaki, tak skwapliwie przyjęte w piśmiennictwie tatrzańskiem doby ostatniej, nie są niczem innem, jak tylko krzakami malinowemi. Skądżeż jednak naraz skamieniały? Oto przez zabawne nieporozumienie. Przewodnicy górale, jako że są jak mawiają o sobie „wyśmiewace“, na żart poczęli nazywać maliniakami wanty. Przyrównanie żartobliwe poszło stąd, że po złomiskach, to jest po miejscach zawalonych złomami, czyli drzewami połamanemi przez wiatr, rosną zwykle bujnie maliniaki, które są jakoby osłodą uciążliwego przechodzenia przez te zawady, darząc ludzi swemi jagodami. W wantulach, które tak samo trzeba przebywać z trudem jak złomiska, są jednak tylko wanty i one to zastępują miejsce maliniaków.

Jak co dopiero wspomniałem, złomisko oznacza zbiór złomów, drzew powalonych wiatrem, i bynajmniej nie odnosi się do skał. Nazwa miejscowa Dolina Złomisk jest nieodpowiednia, zamiast niej powinna wejść w używanie jedyna właściwa nazwa Dolina Pusta, jak ją oddawna górale polscy nazywali. Należy przytem zwrócić uwagę, że miejsca z nagromadzonemi wantami wogóle zowią się puste, także pustki, pustacie.

Zbiorowiska głazów zowią się także w Tatrach, i to tak u nas jak u Słowaków, rumami, a wyraz ten bywał w użyciu w staropolszczyźnie. Oprócz wyrazów: rum, rumy, rumisko, rumiska, jest jeszcze wyraz rypy na oznaczenie miejsca objętego potrzaskanemi skałami.

Na koniec dodam jeszcze jeden wyraz dotychczas całkiem nieznany, choć stary i miejscowy, wyraz brzmiący silnie: szcząb, który może dzielnie pomóc głazowi w wypędzeniu z Tatr na cztery wiatry obrzydliwego bloka.

Dr. Stanisław Eljasz Radzikowski

Ś. p. LUDWIK CHAŁUBINSKI

(ur. 2 sierpnia 1860 w Warszawie, zm. 21 kwietnia 1933 w Zakopanem).

Licznie towarzyszący trumnie ś. p. Ludwika Chałubińskiego do rodzinnego grobowca na starym zakopiańskim cmentarzu uświadomiali sobie, że jest to ostatni epilog tej epoki, którą zapoczątkował tak w rozwoju uzdrowiska, jak i w rozwoju taternictwa przyjazd Tytusa Chałubińskiego do Zakopanego. Odszedł ostatni towarzysz pierwszych wypraw swego ojca, sam na ówczesne czasy wybitny turysta, zaprawiający się od 14-go roku życia w pokonywaniu górskich trudności.

Ludwik Chałubiński przybył po raz pierwszy do Zakopanego w 1874 r. i odrazu mimo swych czternastu lat zwrócił na siebie uwagę jako śmiały i pełen inicjatywy taternik. Liczne wycieczki odbywał to w towarzystwie ojca, to na własną rękę z przewodnikami lub innymi turystami. Do odkrywczych wypraw należało przedewszystkiem zdobycie Mięguszowieckiego Szczytu od Morskiego Oka przez Hińczową Przełęcz. Towarzyszyli zdobywcy słynni Maciej Sieczka i Wojciech Roj. Było to 28 czerwca 1877 r. W tej epoce taternictwa takie wyjście było czynem niezwykłego znaczenia. Był również Ludwik Chałubiński koło 1885 r. zdobywcą Młynarza. Ponadto dokonał wielu odkrywczych wycieczek, jak np. przejścia przez Kozią Przełęcz od Zmarzłego Stawu do Doliny Pięciu Stawów Polskich, wyjścia na Hińczową Przełęcz z Doliny Piarżystej (z obejściem wierzchołka Cubryny), przejścia Czarnej Przełęczy z Doliny Czarnej Jaworowej do Zielonego Stawu Kiezmarskiego. Znał znakomicie wszystkie dostępne wówczas szczyty Wysokich Tatr, jak również Tatr Zachodnich i Bielskich. Wyprawy jego cechuje niezwykła pasja poznania całości górskiego pasma i całej skali tych trudności, jakie stawiały Tatry ówczesnemu turyście. Te cechy wyodrębniają go z pośród współczesnych mu taterników i raczej zbliżają ku następnej wysokogórskiej generacji.

Ludwik Chałubiński nie ogranicza się jednak tylko do Tatr. W latach 1884—1885 zwiedza Tyrol i Szwajcarję, gdzie pasja chodzenia po

szczytach kieruje go ku poznaniu techniki turystycznej na lodowcach. To z przewodnikami, to z Karolem Potkańskim zwiedza alpejskie szczyty, przedewszystkiem Grossglockner i Aletschhorn. I również na te czasy były to niebylejakie wyprawy.

Różny w typie taternickim od swego ojca i współczesnych, niemający jak on naukowych zainteresowań, lekceważący własne wysokogórskie zdobycze, chodzący w małem towarzystwie przewodników lub turystów pokrewnych mu temperamentem, przedstawia się nam Ludwik Chałubiński nietylko jako wielki miłośnik górskiego piękna, ale i jako typowy odkrywca, eksplorator nieznanych dotąd szczytów i dróg, poszukiwacz trudności w górach i walki z temi trudnościami, typowy technik wysokogórskiej wspinaczki.

Z zawodu inżynier, wychowanek słynnej politechniki ryskiej, likwiduje dość wcześnie zajęcia inżynierskie i osiada w 1901 r. na stałe w Zakopanem. Tu — z małemi przerwami — mieszka do końca życia, rezydując w „Domu Chałubińskiego“ wśród trosk codziennego życia. Jeszcze nieraz zapuszcza się w Tatry, zwracając uwagę dawnym turystycznym strojem, złożonym z ciupagi, serdaka, starych bucików i długich spodni. Długoletnie wędrówki po górach zakończył w 1911 r. wyprawą na Złobisty Szczyt, gdzie po raz pierwszy w życiu używał liny. Stan zdrowia nie pozwolił mu już potem wrócić w ukochaną krainę szczytów. O swoich wycieczkach sam nie wspominał nigdy, dopiero brany na wywiad przez ciekawych, jak się dawniej chodziło po górach, i przez historyków taternictwa, oswajał się z koniecznością zdawania relacyj i ożywiał wspomnieniami dawnych czasów. Do końca życia zachował w tych opowiadaniach wielką skromność, przypisywanie wszelkich zasług dawnym przewodnikom i dziecinne niemal zdziwienie, że jego wysokogórskie wyprawy mogą wogóle wywoływać ciekawość lub że posiadają jakieś znaczenie dla taternictwa. Bodaj czy nie ś. p. Mieczysław Świerz był pierwszym, który mu „objawił“, że jego dawne turystyczne czyny mają historyczną wartość. Pamiętam, jak ś. p. Ludwik Chałubiński był ucieszony artykułem o swojej taternickiej przeszłości w „Taterniku“, a jednocześnie, jak się z zakłopotaniem dziwił, że jego o s o b i s t e wysokogórskie emocje mogą się stać materjałem dla ogółu turystycznego społeczeństwa.

Nietylko w taternictwie, ale i w dziejach Muzeum Tatrzańskiego odegrał Ludwik Chałubiński doniosłą rolę. Kiedy pierwszy muzealny lokal, znajdujący się tam, gdzie dziś Bodzio Donigiewicz ma aptekę, w prywatnym góralskim domu Krzeptowskiego, okazał się zbyt niedogodny i ciasny, kiedy ówczesny zarząd Muzeum postanowił zbudować własny budynek i głowił się nad wynalezieniem finansowych środków na kupno parceli i stawianie budowli, Ludwik Chałubiński i Jadwiga z Chałubińskich Surzycka pośpieszyli z nieocenioną daro-

wizną. Z kompleksu parcel przy ul. Chałubińskiego, zakupionych przez swego ojca Tytusa, darowali znaczny plac w 1890 r. Towarzystwu muzealnemu. Tam stanął drewniany budynek Muzeum i przez długie lata służył na przechowanie zbiorów. A gdy energja Dłuskich doprowadziła do zbudowania murowanicy przy Krupówkach i zbiory miały opuścić długoletnie schronienie, gdy szło o to, aby darowany ongiś plac oddać w dobre ręce i na użytek społeczeństwa, Ludwik Chałubiński pierwszy zrozumiał, że przekazanie parceli krajoznawczemu zrzeszeniu, Pol. Tow. Krajoznawczemu, w niczem nie uchybia dawnej darowiźnie. Za zgodą ofiarodawców parceli, mimo iż dawny akt darowizny wyraźnie ją przeznaczał jedynie na cele muzealne, zmieniono pierwotne przeznaczenie gruntu pod warunkiem, iż parcela nigdy nie będzie sprzedana prywatnemu posiadaczowi i że wieczyście ma służyć użyteczności publicznej, przedewszystkiem takiej, która pozwoli młodemu pokoleniu poznać Tatry. Dawny budynek muzealny przerobiło Tow. Krajoznawcze na „Dom Wycieczkowy im. ks. Józefa Stolarczyka", a gdy ta budowla spłonęła wkrótce po przemianie, postawiło dzisiejsze schronisko, również przeznaczone na pomieszczenie krajoznawczych wycieczek.

Obszerny artykuł o taternickich zasługach Ludwika Chałubińskiego, oraz krótki życiorys, zamieścił Mieczysław Świerz w „Taterniku" (1928, XII, nr. 1) p. t. „Zdobywca Mięguszowieckiego Szczytu". Nekrolog napisał J. A. Szczepański p. t. „Wspomnienie o Ludwiku Chałubińskim" w „Ilustrowanym Kuryerze Codziennym", nr. 123 z 5 maja 1933 r. oraz p. t. „Ś. p. inż. Ludwik Chałubiński" w „Przeglądzie Turystycznym", nr. 2 z 15 maja 1933 r.

S.

JESZCZE O OCHRONIE TATR

Tatrzański Park Narodowy — oto hasło, które zostało postawione jako cel dążności, mających zapewnić jak najwydatniejszą ochronę przyrody, krajobrazu i pierwotnego charakteru Tatr, oraz zachowania oryginalnych cech i barwności regjonalnej ich podnóża. Hasło, walczące o swe prawa w polskiem społeczeństwie już od czasów przedwojennych; hasło, które musiało się po wojnie dostosować do nowych warunków granicznych, powstałych na skutek polskiej przegranej politycznej w kwestji plebiscytu na Orawie i Spiszu; hasło, które się wreszcie dostosować musiało i nadal musi do potężnych wymogów życia, jakiemi (wśród wielu innych) są: interes miejscowej ludności góralskiej, wielki rozwój turystyki, niektóre postulaty gospodarcze, zdrowotne itp.

Uwaga społeczeństwa raz rozbudzona, zaczęła jednak słabnąć w kierunku zajmowania się zagadnieniem ochrony Tatr, skoro opinja publiczna zrzuciła cały ciężar myślenia o tej sprawie na nieliczne grono



PIARŻYSTA DOLINA WALERY ELJASZ

Kozicki, kozicki, wtorendyz chadzajom?
W Dolinie Piordzystej, tam one bywajom!

działaczy, skupionych w Państw. Radzie Ochrony Przyrody, we władzach naczelnych Pol. Tow. Tatrzańskiego i Ligi Ochrony Przyrody. Ostatnio jednak, od lat paru, znów mnożyć się zaczynają głosy, które są zarazem przypomnieniem i ostrzeżeniem. Przypominają bowiem, że nie da się jedynie wiele mówić i pisać o Parku Tatrzańskim, nie czyniąc nic poza zupełnie ogólnem kreśleniem projektów przyszłego ustroju Parku, jego granic, charakteru itp., nie dokonując zaś żadnych „faktów dokonanych“ w terenie. Ostrzegają natomiast, że Tatry są wspólnym wprawdzie skarbem Polski i Słowacji, są legendarnemi „ołtarzami swobody“ obu tych narodów w ich dziejach, — to jednak nie czas odkładać konkretnych czynów do dnia ustalenia ostatniej, nierozstrzygniętej, papierowej kwestji ze stroną czechosłowacką, lecz przeciwnie, że już dziś Polacy winni na swoim, mniejszym, lecz jakże przecudownym ułomku Tatr, Park Narodowy *w pełni tworzyć.* Co to znaczy? To znaczy: wszędzie, gdzie można, konsekwentne normy ochraniarskie wprowadzać. I w pewnej mierze dzięki tym głosom może (głosy w prasie, broszury, odezwy, artykuły, przemowy na zjazdach P. R. O. P., Zarządu Głównego i Oddziału Zakopiańskiego P. T. T., Sekcji Ochrony Gór P. T. T.) — a w znacznej części dzięki nareszcie nadeszłemu zbiegowi okoliczności — po udanem stworzeniu w latach 1931 i 1932 pierwszego, pogranicznego, górskiego Parku Narodowego w Pieninach, nadeszły pierwsze fakty, świadczące, że się coś i w Tatrach zmieni na lepsze.

Wielkim sukcesem ochraniarskiej akcji jest zakupno przez Państwo Polskie dóbr „Murzasichle II“, jak również przygotowywane obecnie przejęcie lasów „Fundacji Kórnickiej“. Jeszcze w bieżącym roku należy się u nas spodziewać utworzenia Parku Narodowego Tatrzańskiego na większości terenów *leśnych* w Tatrach Polskich. Pozostaną jeszcze na niepewnych fluktach losy obszarów leśnych „Dominjum Siedmiu Gmin“ w Tatrach Zachodnich, lasów dóbr szaflarskich (o których rychłem wykupnie przez Państwo też się już zresztą wspomina!) oraz drobnych lasów gazdowskich, gminnych i t. zw. „cyrklów leśnych“ przy halach. Nie uspokoi jednak ochraniarzy oddanie li-tylko części lasów tatrzańskich pod ochronę: na ochronę czekają *całe Tatry:* hale, skały, wody, pustacie, zarośla kosówek — to wszystko, co dla Tatr najcharakterystyczniejsze i najwartościowsze. Pewnie, że dobrem będzie zamknięcie i stopniowe zalesianie „Kamieniołomów Tatrzańskich“ na Krokwi, ochrona flory i fauny w lasach i ryb w potokach, dostosowanie wymogów turystyki (schroniska, szlaki znakowane) do ochrony lasu tatrzańskiego itd. — ale czekamy wszak na ochronę *całych Tatr!* A tu stoimy wobec paru szkopułów zasadniczych. Pierwszy, to fakt, że tereny inne, niż las — to własność albo gmin, albo spółek halnych, albo prywatna. Tam, gdzie istnieją współwłasności halne, na najgorętsze

poparcie zasługuje akcja P. T. T. wykupywania udziałów na halach; akcja ta może bowiem w przyszłości sparaliżować niewłaściwy kierunek rozwojowy pewnych hal, z których np. charakter Hali Gąsienicowej w pewnych porach roku więcej przypominać zaczyna „wesołe miasteczko“ względnie „lunapark“, niż halę górską. Akcja wykupna hal i ich części jest jednak kosztowna i nie należy się dziwić P. T. T., że postępuje ona pomału, w miarę napływania subwencyj rządowych i zbierania funduszów, których większość przecież P. T. T. — jako towarzystwo turystyczne — ma obracać w myśl postanowień statutowych na cele bezpośrednio bliższe turystyce.

Drugi szkopuł — to brak dotąd polskiej ustawy o ochronie przyrody. Może zatem na terenach, będących własnością Państwa powstać rezerwat, który może być również zaklasyfikowany jako „park narodowy“ rozporządzeniem ministra rolnictwa; może być również pewna okolica chroniona na podstawie innych zarządzeń, opartych o prawo budowlane, łowieckie, rybackie, lasowe lub inne (w ten sposób można uznać pośrednio pewne obszary za podlegające ochronie lasu, krajobrazu, fauny, zabytków sztuki itd.) — lecz dotąd nie można w Polsce uznać za rezerwat pewnych większych obszarów niepublicznych, lecz będących prywatną lub wspólną własnością. Dlatego też wszystko pod tym względem opiera się u nas, o ile chodzi o Tatry, o akcję społeczną, o działalność towarzystw i instytucyj, o ruch opinji publicznej. Przeto uchwałę Zjazdu Delegatów P. T. T. z dnia 6 maja b. r., apelującą do czynników miarodajnych o jak najwydatniejsze przyśpieszenie wydania rozporządzenia Prezydenta Rzeczpospolitej z mocą ustawy o ochronie przyrody, należy powitać gorąco i poprzeć jak najusilniej. Wiemy bowiem, że bez takiego ogólnego „prawa ochrony przyrody“ nigdy w Tatrach nie wyleziemy z paljatywów, niedomówień i... niedociagnięć, nigdy nie znikną różne enklawy i eksklawy terytorjalne, nigdy się nie zagoją różne rany ropiące w ciele Tatr (np. niemożność zmuszenia współwłaścicieli Dol. Jaworzynki do zalesienia obsuwisk, powstałych po wytępieniu lasu!), nigdy nie będzie pewna losu swego zwierzyna górska i nigdy nie zostanie rozwiązana racjonalnie hodowla owiec i bydła w Tatrach i jej ujemne niekiedy skutki (dewastacja flory halnej, wypalanie kosówki pod pastwisko, nieskoordynowanie akcji szałaśniczej itd.).

Dopóki brak norm prawnych, dopóty bardzo ciężko narzucać rezerwaty zupełne prywatnym właścicielom na ich gruntach. Można i trzeba jednak grunt pod nie już dziś przygotowywać. Et hoc facere et illud non omittere: walczyć o ustawy, rozporządzenia i zarządzenia ochraniarskie — a w terenie rezerwaty de facto pomału robić. Jak? Przedewszystkiem przyłożyć się do powołania jak najrychlej przez współwłaścicieli i dzierżawców terenów łowieckich odpowiednio wypo-

sażonej w uprawnienia policyjne, rzutkiej i zdolnej „straży górskiej“, kontrolowanej przez P. R. O. P. i administrację państwową. Tu piękną rolę inicjatywy mają P. R. O. P. i P. T. T., które zresztą w tej mierze powzięły już ostatnio odpowiednie uchwały. Czekamy na ich realizację, chodzi wszak o ochronę zwierzymy przed kłusownictwem, o racjonalną ochronę i regulację pastwisk, poboru drewna opałowego na halach, ochronę flory górskiej, ochronę tarlisk rybich itd.

Druga możliwość — to dostosowanie odpowiednie turystyki do charakteru Tatr jako Parku Narodowego. Chodzi tu o niemnożenie urządzeń turystycznych i szlaków znakowanych, przeciwnie o kasowanie zbędnych, o planowość ich sieci, o świadome nieuprzystępnianie niektórych obszarów, o tworzenie t. zw. „rezerwatów turystycznych“, gdzie nieobeznany turysta mógłby nawet zabłądzić o ileby szedł bez przewodnika. Z tem wiąże się nawet rozmyślne zamknięcie w przyszłości pewnych terenów dla turystyki, ze względu na utworzenie tam specjalnych rewirów ochronnych dla fauny i flory — jako rezerwoarów rozwojowych dla zwierzyny i roślinności, skąd mnożąc się spokojnie bez ingerencji ludzkiej, rozchodziłyby się na cały obszar Tatr. W ostatniej dziedzinie, dzięki wskazaniom Międzyoddziałowej Komisji Tatrzańskiej P. T. T., Zarząd Główny i Oddziały P. T. T. postępują konsekwentnie.

Głosy energiczne na łamach broszury p. Kowalskiego o „Ochronie Tatr...“, w nrze 1 „Krzesanicy“ (artykuł Halnego Gazdy), w odezwie Sekcji Taternickiej K. S. „Tatry“ — domagają się tu jedynie akcji szybszej, raźniejszej. Rozumieć jednak wypada, że pewien spokój w łączności z konsekwencją, pewien umiar w związku ze stanowczością, i pewna cichość pracy razem ze stałością celów — dają niekiedy większe efekty, mimo pozornej powolności, niż nagłe „cesarskie cięcia“, powodujące nierzadko burze i fermenty, niepotrzebne dyskusje i wzmocnione opory i trudności, silne reakcje i zmobilizowane kontr-fronty. Dlatego też *miejmy ufność;* na czele zarówno P. T. T. jak i P. R. O. P. stoją ludzie zbyt doświadczeni i zbyt odpowiedzialni, by ważyli się na kunktatorskie żonglowanie ideą ochrony przyrody w stosunku do Tatr. Wierzymy, że metody ich pracy, choć może niebłyskotliwe, dadzą rezultat i owoc w formie pożądanej. Nie znaczy to, aby dlatego społeczeństwo miało zaprzestać się interesować sprawami ochrony Tatr, przeciwnie, współpraca czynna członków towarzystw górskich, inicjatywa indywidualna i społeczna, chyba zawsze winny znaleźć w P. R. O. P. oraz u władz naczelnych i w oddziałach P. T. T. oddźwięk przychylny — tembardziej, gdy płyną ze wspólnego umiłowania i z troski najszczerszej o przyszłość naszych jedynych wielkich gór — Tatr.

Andrzej Tenczyński

PRZYCZYNEK DO POCHODZENIA NAZWY TATR

Znaczenie wyrazu Tatry zostało prawie już ustalone. Pisał o tem wyczerpująco u nas prof. J. Rozwadowski [1] [2]), kolejno dorzucali garść uwag prof. St. Wędkiewicz [3]), dyr. J. Zborowski [4]), prof. E. Klich [5]) i inni. Jednakże wcale to nie przeszkadza, aby przeprowadzać dalsze poszukiwania i ogłaszać nowe przyczynki do wszechstronnego poznania tego wyrazu. Szczególniejszą zaś uwagę należy zwrócić na jego znaczenie w słownictwie i interpretacjach ludowych, oraz jego zasiąg. Wiadomo bowiem, że wśród nieprzeliczonego skarbu słownictwa ludowego kryją się wyrazy o pierwszorzędnej wartości historycznej i znaczeniowej. Również umiejętne posługiwanie się interpretacjami ludowemi wydać może świetne owoce. Jak wielkie może mieć zastosowanie ta metoda w dziedzinie językoznawstwa — nie wiem, ale na polu etnologji posiada pierwszorzędne, a nieraz decydujące znaczenie.

O wyrazie t a t r y, używanym jako wyraz pospolity (appellativum) w Beskidzie Śląskim w znaczeniu: zapadliska, nieużytki, niebezpieczne miejsca, pisałem przygodnie w „Zaraniu Śląskiem", VII, 190. Teraz chciałem dorzucić trochę nowego materjału, który zanotowałem podczas badań etnograficznych, przeprowadzonych w roku ubiegłym i bieżącym, w trzech wsiach najwyżej w Beskidzie Śląskim położonych: w Istebnej (właściwie Istebne, a nie urzędowe Istebna), Koniakowie i Jaworzynce pow. cieszyńskiego.

Kiedy robiłem szczegółowe pomiary jednej z najstarszych chat w Jaworzynce i zamierzałem właśnie wejść do ciemnej, bezokiennej komory, odezwał się niespodziewanie siedemdziesięcio paroletni gazda, jakgdyby mię chciał przed czemś ostrzec:

„Nie chodźcie ta, bo ta jino som taki tatry". [6])

Okazało się, że w tejto komorze znajdował się skład najróżnorodniejszych gratów: beczek, narzędzi rolniczych, kolarskich, starej odzieży, zniszczonych naczyń, nieużywanych jarzem i t. p. — składanych od czasów, którym „nimasz pamiyntnika".

Podobnie również odezwał się stary góral w Koniakowie, gdym ze strychu wyciągał różne stare przedmioty o dużej wartości zabytkowej:

---

[1]) Pam. Tow. Tatrz., XXXIV, 4.

[2]) Język Polski, II, 11—14; III, 17—18; VII, 87.

[3]) „ „ II, 60.

[4]) „ „ III, 16—17.

[5]) „ „ VII, 86—87.

[6]) Nie podaję w brzmieniu fonetycznem z braku odpowiednich czcionek drukarskich.

„Eh! taki ta tatrziska, samy ździorby, co wom ta po tym“.

Raz znów, wracając późno wieczór z Istebnej (dziedziny) do jednego z oddalonych przysiołków (dworów), leżących pod Czubanulą, ostrzegał mię stary baca (bacza):

„A dajom se ta pozur na ty tatrziska“.

„Cóż to są ty tatrziska?“ — zapytałem.

„Adyć to skoli, hyrezi [7]) a korzyni, wszycko złe na czim możno ukielznonć“. [8])

Wtedy to zwróciłem baczniejszą uwagę gdzie i kiedy bywa stosowany wyraz t a t r y lub t a t r z i s k a. Zdaje mi się, że w wyżej wymienionych wsiach beskidzkich oznaczają one to samo. Jednakże t a t r z i s k a lub t a t r z i s k o stosują wtedy, gdy chcą jeszcze bardziej podkreślić, że miejsce lub przedmiot jest zupełnie nieużyteczny, albo bardziej niebezpieczny.

W takim to znaczeniu wyrazy te używane są jedynie przez sędziwych górali, a i tu nie należą już do stałego ich słownika. Tylko w chwili, gdy się taki wiekowy gazda rozgada, zapali w opowiadaniu, nie zważając na formę i wyrażenia, to czasem najniespodziewaniej użyje jakiegoś określenia, zwrotu, lub takiego wyrazu, jak np. tatry, wydobywając je niejako z głębokiego zapomnienia. Zapytać się zaś pierwszego lepszego: co to są tatry? — odpowie niezawodnie:

„Adyć hań ty wielki góry (albo „hory“, zależy czy jeszcze czyta „morawski“, czy już chodził do polskiej szkoły), co je z groni widno“.

Czy używany jest na tym terenie wyraz tatry także w znaczeniu wzgórz wysokich, czy tylko jest to ściślejsze określenie geograficzne, tego nie udało mi się sprawdzić.

Nasuwa mi się tu przypuszczenie, że wyraz tatry był dawniej znany, w znaczeniu pierwotnem, i na dalszych jeszcze terenach Śląska. Słyszałem go raz od mojej babki (Bodzanowice, pow. oleski), jak przechodząc około starego, opuszczonego młyna zapytałem:

„A cóż to jest?“ Otrzymałem wtedy odpowiedź:

„To kakiy stare tatry, padajom co ta strasy“.

Przytaczam tutaj to wspomnienie nietylko na jego przynależność do wyżej przytoczonych poszukiwań, ale jednocześnie zwracam uwagę na ważność tego terenu (oleskie, lublinieckie) ze względu na konserwatywny charakter tych okolic, które dziś obok Beskidu Śląskiego są rezerwatem najstarszych wytworów, a z drugiej strony wskazują na starsze związki kulturalne, łączące Śląsk północny z obszarami Beskidu, a tem samem z Podhalem.

---

[7]) nierówności, wyboje.

[8]) poślizgnąć się, upaść

Naturalnie, że przypuszczenia co do zasięgu wyrazu tatry i jego znaczenia pierwotuiejszego, przyjmuję sam bardzo ostrożnie i zdaję sobie dobrze sprawę z ważności dalszych szczegółowych poszukiwań, któreby uzupełniły zebrany dotychczas materjał.

Mieczysław Gładysz

LEGENDARNYM SZLAKIEM

Dnia drugiego stycznia roku bieżącego, około godziny ósmej rano, zwróciły uwagę mieszkańców schroniska przy Zielonym Stawie krzyki, dochodzące z pod Niemieckiej Drabiny. Sensacja! A jakże, cztery osoby dobrze widoczne na trójkątnym płacie śniegu, zawieszonym nad urwiskiem dochodzą już do wielkiego kotła w północncj ścianie Małego Kiezmarskiego. Ludzie krzyczą triumfalnie, a na pożegnanie wołają z ironją: „Salam aleikum", poczem znikają nam z oczu. Nietrudno się domyślić, iż nocowali w nowem schronisku, położonem u stóp Tatr Bielskich i że idą na Łomnicę przez Niemiecką Drabinę i Miedziane Ławki.

Przyznaję, że na ten widok omal nie dostałem ataku apoplektycznego. Przecież, rzecz jasna, oddawna wybierałem się na tę drogę! Jeżeli tym razem nie wyruszyłem, choć miałem za sobą jedynie, w dzień Sylwestrowy dokonane, pierwsze przejście zimowe Przełęczy Stolarczyka, to głównym powodem była obawa samotnego noclegu w skałach, bez możności wzięcia ze sobą (na długą wspinaczkę!) namiotu i worka do spania. Wprawdzie na każdą wycieczkę zimową zabieram ze sobą to, co jest niezbędne do przetrwania nocy w dobrej formie, jestem więc na taką ewentualność zawsze przygotowany, ale zwłaszcza w styczniu znaczne prawdopodobieństwo tego rodzaju przygody nie pociągało mnie wcale. Trzeba bowiem dodać, iż w normalnych warunkach zimowych zejście z Łomnicy ku południowi daje się uskutecznić od biedy pociemku, tego roku jednak w początkach stycznia śniegu było wszędzie tak mało, że domyślałem się, iż w żlebie będą wystawać oblodzone progi, co uczyni zejście frasobliwem i może z łatwością spowodować konieczność biwakowania na wysokościach. Żałowałem teraz gorzko swego kunktatorstwa. Warunki śnieżne w wejściu były korzystne; stary szlak na Łomnicę przez Niemiecką Drabinę, dotąd, jako całość, nigdy w zimie nie przebyty, należał do tych, którzy umieli się zdobyć na decyzję zaatakowania go.

Ale nie ja jeden przemyśliwałem o wejściu zimowem na Łomnicę przez Niemiecką Drabinę. Miał tę drogę stale przed oczyma pan Bartłomiej Duchony, obecnie jeden z dzierżawców schroniska przy Zielonym

Stawie. Myślał o niej tak samo, jak ja i tak samo, jak ja z rozmaitych powodów odkładał realizację swego projektu. Aż wreszcie pękła bomba! Nieszczęście zbliża ludzi do siebie. Zaczęliśmy się obaj naradzać. Wpadłem wreszcie na pomysł, iż mógłbym przecież raz odstąpić od swo jego zwyczaju samotnego chodzenia w zimie i wybrać się dla odmiany z p. Duchonym. Decyzja szybko zapadła: Idziemy jutro razem! Nie będziemy pierwsi, na to już rady niema, ale drogę przejdziemy także. I my to potrafimy! Dziś byłoby już zapóźno; jutro wyruszymy, skoro świt. Właściwie ja już niebardzo mam czas, ale na Łomnicę pójść muszę, niema mowy!

Czy współzawodnictwo było sprężyną naszej decyzji? Z całą stanowczością i przekonaniem mogę odpowiedzieć, że nie. Bo przecie, gdyby nam chodziło o rekord, o sławę pierwszego przejścia, z pewnością nie poszlibyśmy tam, gdzie mieliśmy nadzieję być drugimi! Nie potrzebowaliśmy szukać zbyt daleko, aby znaleźć nietknięte problemy zimowe, które potrafilibyśmy we dwóch rozwiązać i które byłyby może jeszcze efektowniejsze od szlaku, obranego przez tamtych. Krokami naszemi kierowała jedynie zawziętość na dawno upatrzone przejście i — nasza fantazja!

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Jest już całkiem jasno, gdy dochodzimy pod ścianę i zapuszczamy się w żleb. Po śladach — jak po schodach. Wgórze żlebu wystaje trochę zalodzonych skał. Szybko dajemy sobie z niemi radę. Przy łańcuchu, którego górna część jest wolna od śniegu i lodu, wiążemy się na chwilę liną, aby wydostać się letnim sposobem na grzędę. Na zachodach, doprowadzających do wielkiego kotła w ścianie, śnieg przeważnie kompletnie zwiany. Nie wstrzymują nas olodzone trawki. Mijamy, po śladach, trójkątny płat śniegu, na którym wczoraj widzieliśmy czwórkę turystów, i niebawem wchodzimy w Niemiecką Drabinę.

Jesteśmy w samem sercu największej bodaj ściany w Tatrach. Posuwamy się bez znaczniejszych trudności. To jednak dodaje właśnie przeżyciu pewnej niesamowitości. Idziemy szerokim, śnieżnym gościńcem w środku olbrzymiej przepaści! Lepiej, niż kiedykolwiek przedtem ogarniam spojrzeniem i myślą, jako jedną całość, rzekomą drogę Fröllicha, legendarny szlak poszukiwaczy skarbów, „ubogiego gwarectwa" i — pierwszych zdobywców Łomnicy. Jesteśmy w pewnym sensie u kolebki taternictwa i, nie przyznając się do tego, odczuwamy obaj coś uroczystego w nastroju chwili.

Krótki trawers na końcu Niemieckiej Drabiny stanowi pierwsze rzeczywiście ştyrbne miejsce. Wąziutki zachodzik zawalony jest maksymalną ilością śniegu, jaka na nim zmieścić się może. Biała, puszysta masa grozi obsunięciem się w dolinę. Śladów naszych poprzedników nie widać. O dziwo! Idą wgórę. Na Kiezmarski? Ach, nie, trawersowali

kilkanaście metrów wyżej. No, dziękuję, już bezpieczniej iść dołem. Na wszelki wypadek, przewiązujemy się liną i idziemy, tuląc się do skał.

Przejście wydawało się trochę gorszem, niż było naprawdę. Lądujemy niebawem z drugiej strony na występie w żebrze, skąd się już schodzi do tarasu u początku Miedzianych Ławek. Słychać głosy gdzieś całkiem blisko. I stuk czekanów. Czyżby „oni" byli dopiero tutaj? Niemożliwe! Przed nami, wdole, rozpościerają się Miedziane Ławki; dostrzegamy na nich wyraźnie przetorowaną w śniegu drogę. Ale ludzi jako żywo nie widać. Nie mogą być nigdzie indziej, jak tylko w rodzaju żlebku, którym za chwilę schodzić będziemy ku Ławkom i który zaraz, zachylając się w lewo, znika za załomem skał. Widocznie, tamci wracają; powinni się zaraz wynurzyć. Zaczekamy tu na nich, tembardziej, iż należy się nam wypoczynek, jako, że od rana idziemy właściwie bez przerwy. Jest zresztą jedenasta, więc już czas na drugie śniadanie.

Siedząc, omawiamy sytuację. Byli na szczycie, czy nie byli? Co ich mogło wstrzymać? Nie upłynęło chyba pięć minut, gdy wyłania się postać pierwszego turysty. Za nim pojawiają się inni, dziwnie jakoś pochyleni naprzód i powściągliwi w ruchach. Przeczuwamy porażkę. Nie bez pewnego zdziwienia rozpoznajemy wśród nich niewiastę. Jest to znajoma z Wiednia mojego towarzysza, p. Frieda Kessler. A z nią także jego znajomi, pp. Tibor Gresdi i Władysław Jurân, oraz p. Józef Petényi. Jak się później dowiedziałem, bractwo chadzało w lecie po tavernicku, ale o zimie miało słabe pojęcie. Z tego więc, iż widzieli w górach mało śniegu, wywnioskowali, że droga będzie niewiele trudniejsza, niż w lecie. Przeszedłszy gładko Miedziane Ławki, skierowali się popod Widły, tam, gdzie jest umieszczony łańcuch (ulubiony, a niezbyt fortunny warjant wszystkich Spiszaków!). No, i tam ich nie puściły zalodzone płyty. W odwrocie niebawem zaskoczyła ich noc. [1])

Częstujemy, ale skąpo, własnemi prowiantami, rozmawiamy jeszcze chwilę i każda partja wyrusza w swoją stronę. Zejście do Miedzianych Ławek jest z początku niezbyt miłe, po zalodzonych skałkach i trawkach, więc rozwiązujemy się z liny dopiero nadole, w samo południe. Przejście Miedzianych Ławek, po utorowanym marszem w obie strony śladzie, nie trwa długo. Wogóle, idziemy — jak dotąd — nie-

---

[1]) W sprawozdaniu z sezonu zimowego, umieszczonem w zesz. 2 tegorocznego „Taternika", znajduje się na str. 41/42 aluzja do owej próby wejścia na Łomnicę, zawierająca w jednem zdaniu cztery nieścisłości, które dla porządku warto sprostować A więc: 1) nie czterej, tylko czworo; 2) nie niemieccy, tylko węgierscy turyści ze Spisza plus jedna Wiedenka; 3) nie „niedoświadczeni turyści", tylko taternicy, którzy dotąd nie chodzili w zimie; 4) wcale nie „dopiero nadejście nocy i biwak w skale" ich zawrócił, lecz trudności techniczne decydującej pod tym względem części drogi. A o wszystkiem przecież można było się dowiedzieć chociażby z pism, wychodzących w Kiezmarku i prenumerowanych w Krakowie.

wiele dłużej, niż wynosi letni czas, podany w przewodniku. Kominek z Dolnej na Górną Miedzianą Ławkę nie jest trudniejszy, niż w lecie. Z niecierpliwością i zaciekawieniem oczekujemy partyj podszczytowych. Jeżeli nam się uda — w co trudno, mimo wszystko, wątpić — będziemy jednak pierwsi! I chcemy tworzyć przysłowie: „Nie mów salam aleikum, pókiś nie przeszedł!“

Narazie, idąc, zachwycamy się otoczeniem. Czyż mogłoby być inaczej? Trudno w Tatrach o bardziej wysokogórską scenerję, niż ta, która roztacza się dookoła nas. Nie widać nic prócz gór i czystego nieba nad nami. Pod stopami — bezkonkurencyjny lodowiec. Dookoła — czarny granit i biały śnieg. Jedne obok drugich, wznoszą się w krzesanych uskokach gotyckie, skalne filary. A między niemi — śnieżne przechyliny zawrotnie stromych żlebów. Wszystko tak dobrze znajome (tyle wspomnień wiąże mnie z tą właśnie kotliną!), a jednak dzisiaj — jak za każdym razem — jakieś inne, nowe i zawsze fascynujące.

Lecz oto jesteśmy już u końca Górnej Miedzianej Ławki, przy znanym z lata potoczku, który zakrzepł w niezliczone lodowe kaskady. Wzrok ogarnia całą kopułę szczytową Łomnicy. Po tylu godzinach wędrówki, dopiero teraz stajemy u początku największych trudności. Chwila intensywnego skupienia. Teraz trzeba dostrzec wszystko, co można ujrzeć oczyma, trzeba domyślić się tego, co jest ukryte, trzeba wszystko zważyć w myśli i obrać najwłaściwszą drogę na szczyt. Postanawiamy się trzymać mniej więcej prawej krawędzi, a więc iść w zasadzie normalną drogą letnią. Najpierw jeszcze kawałek po śniegu, potem w zygzak olodzonemi częściowo płytami. Na wszelki wypadek wiążemy się liną i wyruszamy natychmiast.

Zdobycie kopuły szczytowej zabrało nam przeszło dwie i pół godziny. W żadnem miejscu nie natrafiliśmy na jakieś wyjątkowe trudności, ale wspinaczka wymagała cały czas wytężonej uwagi.

Na grani z radością powitaliśmy kładące się na widnokręgu słońce. Jego ukośne promienie nadawały złoty odcień skalnym blokom. Jeszcze kilka krótkich chwil — i staliśmy na szczycie.

Triumf z powodu dokonanego wejścia nie zagłusza troski o zejście. Dzień się już kończy, a w żlebie, którym prowadzi normalne zejście, widać miejscami — jak przewidywałem — lodowe progi. Ale chwilę odpocząć musimy koniecznie. Mam zawsze wrażenie, iż w takich wypadkach człowiek, pozornie zajęty raczej każdą inną rzeczą (ekwipunek, jedzenie, obmyślanie dalszej drogi itp.), zyskuje jakąś zdolność chłonięcia widoku wszystkiemi porami ciała i zapamiętania go ze wszystkiemi szczegółami.

Napróżno siliłbym się opisać panoramę ze szczytu Łomnicy owego styczniowego wieczora. Nadmienię tylko. iż przejrzystość górnych

warstw atmosfery była nadzwyczajna, stwarzając ogromny promień widzenia, a morze mgieł nad równinami potęgowało jeszcze wrażenie zupełnej izolacji od świata.

O zejściu dałoby się snuć drugą, równie długą opowieść. Niechaj wystarczy, iż tegoż wieczora próbowaliśmy forsować południowy żleb, ale znaczne trudności pierwszego progu lodowego, przy zapadających ciemnościach, skłoniły nas do natychmiastowego — póki jeszcze coś niecoś oko rozróżnia — powrotu na szczyt i poszukania koleby, zwanej „Pałacem pod Blachą". — Nie zapomnę nigdy tej Łomnicy, wyłaniającej się z zupełnej ciemności i oświetlonej ostatniemi odblaskami wieczornej zorzy! — Kolebę znaleźliśmy już niemal poomacku. Trzeba przyznać, iż jest kapitalnie położona: na samej krawędzi olbrzymiego urwiska wschodniej ściany! A do tego mrok niebywale uwydatniał wrażenie wysokości miejsca.

Urządziliśmy wewnątrz rodzaj ławki, daliśmy deskę pod nogi, zamurowaliśmy śniegiem otwór wejściowy i... spędziliśmy noc, jak w kawiarni.

Jakiż inny był drugiego dnia nastrój na szczycie! Opuściliśmy nasz schron dopiero po ósmej, wychodząc z optymistycznego założenia, iż czasu na zejście mamy i tak dosyć, a nie warto rozpoczynać wspinaczki, zanim trochę się ociepli. Jakoż istotnie, gdy wyjrzeliśmy na świat, skała była już wygrzana w słońcu, dając niemal złudzenie lata. Zabawiliśmy chwilę na wierzchołku. Nabierając cieplika, cokolwiek skostniałe członki odzyskiwały swą prężność.

Wentylowaliśmy kwestję wyboru drogi powrotnej. Najszybciej i bez niespodzianek osiągnęlibyśmy Zielony Staw przez Miedziane Ławki, schodząc potem wprost do Dzikiej. Ale toby popsuło styl wycieczki, pozbawiając nas efektu właściwego trawersowania Łomnicy. Postanowiliśmy więc zejść na południe. Ponieważ zaś perspektywa schodzenia olodzonemi progami głównego żlebu nie miała w sobie nic pociągającego, daliśmy się skusić wybornej, suchej skale i... znaleźliśmy częściowo nową drogę. Jest to zejście z prawej strony żlebu, wspomnianem w Przew. J. Ch. i M. Ś. pod nrem 1084 „potężnem żebrem skalnem o kształcie filara", aż do miejsca, gdzie przekracza je opisana pod powyższym numerem droga. a dalej — tą ostatnią ku południowej grani. Wspinaczka była miła — może dość trudna, zabrała nam jednak sporo czasu. Przebywszy już łatwo dolną część grani, znaleźliśmy się na Ramieniu Łomnickiem w porze obiadowej. Mieliśmy potem jeszcze różne przygody, które znacznie opóźniły nasz powrót do gościnnego schroniska Karpathenvereinu, ale nie warto o nich mówić. Nasze trawersowanie Łomnicy pozostanie i tak jednem z najpiękniejszych pośród moich wspomnień z zimy tatrzańskiej.

Wilno, maj 1933 r. **Dr. S. K. Zaremba**

Itinerarium pierwszego dnia: Zielony Staw Kiezmarski: 7:00; u wejścia w ścianę: 7:40 — 7:55; początek Niemieckiej Drabiny: 9:20; przełączka pod turniczką 2265 m: 10:35 — 10:40; koniec Niemieckiej Drabiny: 10:50—11:40; początek Miedzianych Ławek: 12:05—12:10; koniec Górnej Miedzianej Ławki: 13:00—13:05; Łomnica: 15:40.

GÓRY, TATERNICTWO I JA

Napisano już wiele o ideologji taternictwa i ciągle się o niej pisze. Więc poco — zapytać się można — zbytecznie pomnażać te długie szeregi stronic zadrukowanego papieru, których nikt lub prawie nikt nie czyta, poco powtarzać rzeczy aż do znudzenia znane? Zapewne — lecz każdy ma nadzieję, że może powie coś nowego lub przynajmniej o czemś starem, zapomnianem przypomni. Zresztą, jeżeli ktoś nadziei tej nie podziela, niech nie czyta — nie wezmę mu tego za złe.

Na wstępie rzucę stare, oklepane pytanie, jakie są cele taternictwa, co właściwie sprowadza się do określenia jego pobudek, gdyż główny cel taternictwa leży w zadośćuczynieniu tym ostatnim. A zatem postaram się uświadomić sobie dokładnie, poco chodzimy w góry i dlaczego w nie chodzimy. Jest to zagadnienie zasadniczej wagi, które jednak — właśnie może dlatego — rzadko kto z piszących w ostatnich czasach usiłował rozwiązać. I nie należy się temu dziwić, bowiem nie jest to sprawa ani łatwa, ani prosta, jak zresztą wogóle zagadnienia psychologji, a pozatem — przecież o tem się już tyle mówiło! Czasem jednak warto sięgnąć do podstaw, by wywody nie obracały się w próżni, zamąconej niejasnem kłębowiskiem różnego rodzaju snobistycznych prądów pseudomodernizmu, a niestety wywody, które ostatnio zdarzyło mi się czytać, zrobiły na mnie właśnie takie, a nie inne wrażenie.

Motywy chodzenia w góry są niesłychanie różnorodne, z tej różnorodności da się jednak wyłowić kilka zasadniczych, kardynalnych punktów, na których można będzie się oprzeć. Pomijając snobizm, od którego żadna dziedzina działalności ludzkiej nie jest wolna, za takie uważać można pięć rodzajów pobudek, które — oczywista — w praktyce nigdy nie występują osobno, lecz w rozmaitych, od indywidualnego podłoża psychicznego zależnych, kombinacjach, a nawet w teorji nie dają się ściśle rozgraniczyć: po pierwsze w grę wchodzi motyw sportowy (numeracja w tym przypadku nie jest niczem istotnem), po drugie — ściśle z nim związana, acz odrębna — chęć wykorzystania niezużytych sił, znalezienia ujścia dla nagromadzonej w nas energji, niemogącej się wyładować w zwykłych warunkach życia, z czem zkolei łączy się żądza przeżyć, znalezienia odczynnika na niewyżyte uczucia,

wychodzące poza ramki codzienności, wreszcie — motyw estetyczny i motyw, który określę w braku innej nazwy jako „techniczne zmęczenie“.

A zatem chodzimy w góry poto, by móc oddychać świeżem powietrzem, przebywać w warunkach, sprzyjających fizycznemu rozwojowi organizmu: góry dają nam pożyteczne ćwiczenie mięśni, którego nie możemy, czy też nie chcemy znaleźć gdzieindziej. Ćwiczenie to staje się — rzecz prosta — coraz bardziej skomplikowane i coraz bardziej skuteczne w miarę tego, jak „robimy coraz to trudniejsze rzeczy“. Znajdujemy tu pole dla ekspansji, bezużytecznie drzemiących, zasobów energji fizycznej; wzamian za poniesione trudy otrzymujemy wypoczynek, zadowolenie i radość życia, gdyż każda niećwiczona zdolność dopomina się o swoje prawa, stwarza gorycz, uczucie niejasnej krzywdy i braku. Z tą ekspansją wiąże się ściśle szukanie trudności, walki, niebezpieczeństwa, „big excitement“, gdyż dopiero one dają w pełni możność wykorzystania naszych sił, gdy zaś do tego przyłączy się społeczny moment współzawodnictwa, zaczynamy szukać rekordu (nie uwierzę nigdy, by rekord był tylko próbą sił — tak „sobie i gwiazdom“).

Rozważyliśmy tu dwa pierwsze motywy, które bez wielkiej pretensji do ścisłości możnaby nazwać fizycznemi. Określenie powyższe jest tem bardziej nieścisłe, że niezużyte siły nie muszą być koniecznie fizycznej — mięśniowej — natury, a głód wrażeń, wybiegających poza ramki codziennego życia cywilizowanej ludzkości, wymaga również zaspokojenia, a stać się może źródłem bardzo przykrych zboczeń i wykolejeń, jeżeli nie znajdzie odpowiedniego pokarmu, a głód ten jest niewątpliwie jedną z pobudek wszelkich sportowych poczynań. Wkraczamy tu przeto w dziedzinę zjawisk jak najbardziej psychicznych, które objęliśmy punktem trzecim, a które z pewnych względów omówię przy końcu.

Nie będę się długo rozwodził nad rolą momentu estetycznego w taternictwie, powiem tylko, że rozwój estetyczny posiada bardzo wielkie znaczenie dla wewnętrznej harmonji charakteru, ustosunkowania się do innych i własnego życia, a są to rzeczy ważne, mojem zdaniem, ważniejsze od technicznie dobrego przejścia jakiejś ściany, nie wolno przeto pobłażliwie kiwać ręką, jak to się czasem robi, i mówić o nim jako o kulturalnym przeżytku. W związku, choć dość dalekim od bezpośredniości, z tem pozwolę sobie zauważyć, że wbrew szeroko rozpowszechnionemu mniemaniu sądzę, iż przeżycia estetyczne podczas wspinaczki są nieporównanie większe, głębsze i bogatsze, niż przy zwykłem łazęgowaniu — nie widzę powodu, dla którego należałoby ograniczyć zakres przeżyć estetycznych do tradycyjnego oglądania widoków ze szczytu i t. zw. „Gipfelgedanken“, nota bene najczęściej bardzo prozaicznych. Zresztą przeżycia estetyczne stanowią tylko

cząstkę tych wrażeń, których szukamy w górach i mogłyby być rozpatrywane pod punktem trzecim, gdyby nie obejmowały zarazem całokształtu zagadnień taternictwa. Nie rozwijam tej myśli tutaj do końca, niech to każdy na swoją rękę uczyni — bo jest to zadanie trudne, na podjęcie którego nie mam dość miejsca ani czasu. Chcę dać jedynie szkic syntezy, nie syntezę samą.

Przejdźmy wreszcie do ostatniego motywu — „technicznego zmęczenia życia“. Większa część życia większości ludzi zajmuje zawodowa praca, większą część zawodowej pracy stanowi skostniała i nudna rutyna, mechaniczne powtarzanie tych samych czynności, rzeczy drobne, nieuniknione, nieciekawe. Im dłużej się w danym zawodzie pracuje, tem więcej zajmują one miejsca i wkońcu rodzi się uczucie beznadziejnej jednostajności, poza drobiazgami przestaje się widzieć całość, opanowuje umysł „techniczne znużenie“. A przytem technika prześladuje nas na każdym kroku: codziennie słyszy się ten sam turkot maszyny, technicznie czyta się techniczne książki, żyje się w ciągłem naprężeniu i pośpiechu, ciągłem napięciu nerwów. Jakby się nie kochało swej pracy — trudno kochać ból głowy i statystyczne tablice — przychodzi „techniczne zmęczenie życia“, chce się uciec przed cywilizacją, przed t. zw. kulturalnemi rozrywkami z ich nużącą jednostajnością i sztucznością. Chce się kawałka lasu, w którym nie słychać dzwonka telefonu i trzasku remingtona, gór, w których niema ścieżek, wysypanych szutrem i lamp elektrycznych — w których niema techniki! Wreszcie powstaje pragnienie — niewyżytych uczuć, których codzienne życie nam dać nie może — niebezpieczeństwa, walki, zwycięstwa, możności narażenia się na śmierć dla dobra towarzysza (tak, to jest też przyjemność!), wolności, nieskrępowania przez żadne więzy społeczne i towarzyskie. Przeżycia tego rodzaju wzbogacają treść wewnętrzną, wyrabiają niezależność sądu, odwagę — każda cecha charakteru wymaga ćwiczenia.

Przychodzimy tu znów do wspinaczki, a w pewnej mierze nawet do rekordu, opartych jednak na zupełnie innych zasadach, mających zupełnie odrębne cele, niż wspinaczka czysto sportowa — i tu dopiero leży jej usprawiedliwienie. Bo jeżeli rozbija się głowy o ostre kanty skał jedynie poto, by pokonać jakiś komin czy przewieszkę, to mimowoli powstaje pytanie, czy nie dałoby się dla tych głów znaleźć jakiegoś innego zastosowania?... Chociażby — pozłocić? Ale wyprzedziłem nieco bieg swoich myśli — „beduinie opętany, gdzie pędzisz?“

Otóż taternictwo powinno zaspokajać wszystkie pobudki, które pchają nas w góry, wszystkie pobudki uczciwe i zdrowe, bo tylko o takich mowa: nie wolno, tworząc czy przetwarzając jego ideologję, zapominać o żadnej z nich — nie byłoby to „idealne rozwiązanie problemu“. Tymczasem chce się z taternictwa uczynić sport boiskowy,

pomijając w ten sposób zupełnie dwa ostatnie jego motywy bez podania jakichkolwiek uzasadnionych powodów. „Techniczne zmęczenie życia“ nie może być zaspokojone na drodze sportu boiskowego, nie daje on ani tych przeżyć, których się tu szuka, ani odpoczynku od techniki, sam będąc nawskróś techniczny, a jest to mojem zdaniem najważniejsza, najistotniejsza potrzeba, z której rodzi się taternictwo, której znaczenie wzrasta, z roku na rok, z każdym krokiem naprzód, czynionym przez naszą cywilizację. Nie wolno nam jej pominąć, zwłaszcza, że przez to nie stanie się krzywda sportowi boiskowemu, który może sobie kwitnąć spokojnie na innych terenach. Powiem więcej — niepotrzebna jest taternictwu jego nowoczesna technika. Poco tworzyć technikę tam, dokąd przed nią chcemy uciec? Technikę nikomu nie potrzebną! Nie znaczy to, bym uważał, że należy zaniechać używania lin i haków, raków i innych pomocy technicznych. Byłoby to zbyteczną przesadą, śmiesznem doktrynerstwem, bo z równą słusznością możnaby twierdzić, że nie wolno chodzić w butach i wkładać wiatrówek, że już nie wspomnę o nartach — piekielny wynalazek! Również aktualnem pozostaje zagadnienie racjonalnej drogi, np. znalezienie rozwiązania ściany, o tyle jednak tylko, o ile wszystko należy robić z sensem. Nie utrzymuję także, jakoby należało spalić wszystkie przewodniki, choć nie rozpaczałbym zbytnio, gdyby to stało się nagle „un fait accompli“ — niech z nich korzysta, kto chce.

Ale napawa mnie równym wstrętem widok ściany, okrytej pajęczyną krzyżyków, kółeczek i kresek — rozmaitych dróg i warjantów, jak ścieżka na Rysy od Popradzkiego Stawu i siatka dla przesypywania szutru na Wadze. Nie rozumiem również jak taternik-wspinacz może nienawidzieć gór, ponieważ z niemi walczy. Gdzież tu „fair play“? Czyż grając w tennis, nienawidzimy partnera, bo z nim walczymy? Doprawdy dziwne zboczenie — jakiś wysokogórski hitleryzm! A jednak są taternicy, którzy propagują takie ideje.

Nie chcę widzieć ścian porysowanych warjantami, nie chcę słyszeć o jakichś „wielkich problemach“, o których się mówi tak, jakby conajmniej o rozbrojenie świata chodziło, a nadewszystko nie chcę widzieć na graniach wyścigów.

Ja kocham góry i nienawidzę taternictwa!

Axy

WIELKA BUCZYNOWA TURNIA

Pn.-wsch. ścianą. M. Dubielewiczówna i Wincenty Birkenmajer, dnia 20 sierpnia 1930 r.

Pn.-wsch. ściana wtulona jest między pn.-wsch. grzędę (którą biegnie droga 128 Przew. Chm. i Św.), a wsch. grań (którą wiedzie — częściowo — droga 129 Przew. Chm. i Św.). Przecięta jest przez całą wysokość stromym żlebem (którego nie należy identyfikować z „ukośną rynną, przechodzącą w żlebek", opisaną pod nr. 129 Przew. Chm. i Św.!). Dnem jego prowadzi nasza droga.

Nieco powyżej początku drogi 136 opuszczamy drogę 130 Przew. Chm. i Św. i poziomo w pr. trawersujemy po sypkim piargu na dno naszego żlebu. Nim wgórę. Wkrótce przechodzi on w ciasną, mokrą i kruchą rynnę (w połowie długości zaklinowany blok; dość trudno), która kończy się u stóp 3-metrowej źle uwarstwionej ścianki. Pokonanie jej wprost jest b. trudne i ryzykowne (ekspozycja!), dlatego wspinamy się przyległą doń lewą ścianką, przeciętą zachylonem pęknięciem, poczem trawersujemy kilka m poziomo w pr. (poprzez małego konika). Teraz albo w pr. wgórę pod przetykane niepewnemi trawkami stopnie i niemi stromo wgórę (dość trudno, wielka ekspozycja) — albo wprost wgórę (z odchyleniem w pr.) rozwartą, skalną rynną (trudno) na pochyły zachód trawiasty, uchodzący w pr. na przełączkę w pn.-wsch. grzędzie (w tem samem miejscu, gdzie na nią wybiega droga Szczepańskich). Kruchą, stromą rynną kilkanaście m wprost wgórę pod 5-metrową przewieszoną rynnę i nią (b. trudno) na punkt kulminacyjny ściany, skąd 10—15 m poziomo w pr. na właściwy szczyt (1—1½ godz.).

Droga b. trudna, o pięknej scenerji. Skała miejscami nadzwyczaj krucha. Ciągłe lawiny kamienne. Najwyższe partje można obejść pn.-wsch. grzędą.

Wincenty Birkenmajer

SZARPANE TURNIE

Wejście od pd.-zach. na przełączkę między Wielką a Środkową Szarpaną Turnią. Stanisław Motyka i Jan Sawicki, dnia 26-go lipca 1931 r.

Tam, gdzie nasza ściana schodzi płytami w piarg, znajduje się na lewo jasne, płytowe wcięcie. Wcięciem wgórę aż do miejsca, gdzie się wygładza. Lewą ścianką i lewą krawędzią wgórę do pochyłej platformy (miejsce do asekuracji). Stąd lewą stroną dalej wgórę do kominka. Przez zaklinowany blok (b. trudno) do końca kominka, gdzie

kończy się przewieszką. Stąd w pr. wywinięcie się na stromą płytę i wprost wgórę przez trzy przewieszki pod olbrzymi, wiszący blok. Stąd lewą stroną pod blokiem po płytach, później w pr. do komina. Trawiastym kominem pod Wielką Szarpaną Turnię, a stąd na widoczną w prawo półkę (kopczyk). Przez przewieszoną ściankę na dużą platformę, a następnie przez ściankę na przełączkę.

Droga nadzwyczaj trudna, czas przejścia 2½ godz.

S. Motyka i J. Sawicki

GANEK

Wejście pd.-zach. ścianą. Stanisław Motyka i Jan Sawicki, dnia 24 lipca 1931 r.

Pod ścianą Małego Ganku, jak i Ganku biegnie trawiasto-skalisty zachód od Rumanowej Przełęczy Wschodniej. Podchodzimy nim pod środek ściany (kopczyk), skąd w lewo trudnym kominkiem do miejsca, gdzie widać po pr. stronie rodzaj stopni. Tędy trawers przez krawędź (b. trudno) na wygodny stopień. Stąd rysą w środku przewieszoną (nadzwyczaj trudno) na platformę pod olbrzymiemi przewieszkami, skąd trawers w pr. po płytach przetykanych trawkami skośnie wdół do piarżystej rynny, która gubi się w białych przewieszkach. Prawą jej stroną (b. trudno) pod przewieszony, mokry komin, skąd skośnie w pr. stromym zachodem w kierunku żebra ściany. Albo niem samem, albo po trawie na szczyt.

Droga nadzwyczaj trudna, czas przejścia 2½ godz.

S. Motyka i J. Sawicki

DURNY SZCZYT

Wejście pd. filarem wsch. ściany. Dr. Zoltán Brüll, Jan Sawicki, dr. Stanisław Krystyn Zaremba, dnia 12 sierpnia 1932 r.

Właściwą wsch. ścianę Durnego Szczytu, opadającą ku wsch. odnodze Dol. Dzikiej, ograniczają dwa wyraźne filary. Lewy z nich, t. j. południowy, kończy się w dolinie u górnego krańca lodowca pod Miedzianemi Ławkami, tam zatem, gdzie łączą się żleby, spadające z Pośledniej Przełączki i z Przełęczy pod Poślednią Turnią i gdzie wyrasta ku górze pn. filar Pośledniej Turni. Do tego miejsca dotrzeć można od Zielonego Stawu Kiezmarskiego (ok. 3 godz.) trzema sposobami:

1) Drogą nr. 1090 Przew. J. Chm. i M. Św. aż do miejsca, gdzie ona opuszcza Dolną Miedzianą Ławkę. Stąd tą ostatnią w dalszym ciągu aż do jej rozwidlenia i dolną jej odnogą do końca tejże, u wylotu żlebu, spadającego z Pośledniej Przełączki, który trawersujemy po

śniegu, poczem jeszcze kilkanaście m trawersu po skałkach u stóp pn. filara Pośledniej Turni i trawers na drugą stronę żlebu, spadającego z Przełęczy pod Poślednią Turnią, do początku pd. filara wsch. ściany Durnego Szczytu (sposób wcale praktyczny i najbezpieczniejszy).

2) Z dolnego brzegu Dol. Dzikiej skośnie w lewo ku poprzednio wspomnianemu lodowcowi i nim wgórę, rąbiąc stopnie w mniej lub więcej zlodowaciałym śniegu aż pod filar Pośledniej Turni (sposób, z uwagi na spadające kamienie, niezupełnie bezpieczny).

3) Jak wyżej lodowcem w jego dolnej, mniej stromej części, na stępnie zaś, w miejscu, gdzie z pr. strony tworzy dość obszerną zatokę, w pr. na białawe, płytowe skały u stóp wsch. ściany Durnego Szczytu i niemi, w środkowej części dość wysoko ponad lodowcem, pod koniec zaś mniej więcej poziomo trawersując, do podnóża pd. filara wspomnianej ściany (sposób dość trudny).

Początek filara jest niezbyt stromy, lecz wyłożony gładkiemi płytami. Na pr. od krawędzi znajdują się dwa zacięcia. — Ze śniegów kilka m po łatwiejszej jeszcze skale do pr. zacięcia i niem do jego końca, poczem parę m w lewo i przedłużeniem lewego zacięcia aż do jego końca, poczem skośnie w lewo po stopniach na krawędź filara (dobry blok do asekuracji). Nią, po płytach, na sporą platformę, przedzieloną niskim stopniem. Powyżej krawędź spłaszcza się w zupełnie gładkie płyty. Obchodzimy je z lewej strony, różnemi rynienkami i zacięciami, po dobrze połupanej skale. Teraz dłuższy czas łatwiejszą, szeroką, korzystnie uwarstwioną, liczne trawiaste platforemki wykazującą, środkową częścią filara w zygzak, pod koniec nieco stromiej, na podłużną platforemkę u stóp następującego powyżej uskoku.

Tu filar przybiera postać niezmiernie stromej, ostrej grańki, zachylającej się nieco w pr. Bierzemy ją początkowo samem ostrzem, poczem, nieco z pr. strony, wchodzimy na płytową platformę. Teraz krótki trawers w lewo (ekspozycja) i w pięknej wspinaczce, ściśle ostrzem, poprzez uskok i dalej, mniej stromo, na zawaloną olbrzymiemi blokami, znacznych rozmiarów kazalnicę pod następnym uskokiem. Stąd w pr., przez ukosem idącą ściankę, na dużą, gładką i dość stromą płytę. Nią skośnie w pr. i z niej w lewo płytowo-trawiastemi rynnami na platformę ponad uskokiem.

Powyżej filar staje się coraz mniej wybitnym. Nim, biorąc dolną przewieszkę rysą z pr. strony, potem zaś wznosząc się po stromych blokach, dwie długości liny wgórę. Teraz, kilkanaście m poniżej szczytu, filar ostatecznie zatraca się w ścianie. Nią, po coraz łatwiejszych blokach, ze słabem odchyleniem w pr., na wierzchołek (3 godz.).

Droga bardzo trudna, o pięknej i mocnej skale, krajobrazowo wspaniała.

J. Sawicki i dr. S. K. Zaremba

PRZEŁĘCZ POD POŚLEDNIĄ TURNIĄ

Wejście z Doliny Dzikiej. Dr. Stanisław Krystyn Zaremba, dnia 14 sierpnia 1933 r.

Z Przełęczy pod Poślednią Turnią opada ku pn. bardzo stromy, skalisty żleb, ograniczony z orogr. pr. strony potężnym, pn. filarem Poślednej Turni. Tam, gdzie kończy się ów filar, żleb ten łączy się ze żlebem, spadającym z Poślednej Przełączki i tworzy wraz z nim wypełnioną lodowcem, wsch. odnogę Dol. Dzikiej. Do tego miejsca dotrzeć można od Zielonego Stawu Kiezmarskiego (ok. 3 godz.) trzema sposobami, podanemi w opisie wejścia na Durny Szczyt pd. filarem wsch. ściany (p. str. 63).

Kierujemy się teraz wgórę żlebem, spadającym z Przełęczy pod Poślednią Turnią. W dolnej jego części, liczącej kilkadziesiąt m wysokości, mamy do pokonania kilka niezbyt wysokich, lecz kruchych prożków, które bierzemy z pr. strony. Bezpośrednio powyżej odgałęzia się w pr. wybitna załupa, wyprowadzająca na Klimkową Przełęcz.

Teraz, na niezbyt dużej przestrzeni, dno naszego żlebu zalega, zwykle zupełnie zlodowaciały, stromy śnieg. Dla uniknięcia uciążliwego rąbania stopni, posuwamy się najpierw kilka m z pr. strony śniegu, następnie zaś, w dogodnem miejscu, trawersujemy go w lewo i aż do jego końca posuwamy się obok, niemiłemi, drobnym piarżkiem przysutemi skałami. Tam, gdzie żleb nagle zachyla się w pr. i piętrzy znaczniejszym uskokiem, — popod tymże w pr. kąt i wąskim kominkiem, częściowo zapierając się, na mały stopień, z którego bardziej w lewo i wgórę ponad uskok. Następuje krótka, połoga część żlebu, kończąca się progiem, który przezwyciężamy najpierw lewą, potem zaś pr. stroną.

Znajdujemy się teraz na platformie, z której widać obok, w lewo, wielkie, połogie, lecz zupełnie gładkie, zdala widoczne płyty, należące już do filara Poślednej Turni. Ze środkowej części platformy w lewo na płyty poprzez stopień, niemi parę kroków wgórę i zaraz w prawo spękaną, pionową ścianką na występ skalny, skąd w dalszym ciągu w pr. trawersem po dachówkowato opadających, płytowych skałach pod odpychającemi ściankami na dno żlebu, już ponad niezbyt wysokim, lecz przewieszonym progiem, zamykającym u góry wspomnianą platformę. Żleb tworzy tu nową, płytową platformę. Następujący zaraz potem, dość wysoki próg przerzynają dwie rynny, z których główną jest lewa; prawą z nich, po korzystnie połupanej, lecz niepewnej skale, wydostajemy się ponad próg. Jesteśmy teraz o kilkanaście m poniżej przełęczy; osiągamy ją po połogich, tu i ówdzie kępkami mchu i trawy porośniętych skałach (2 godz.).

Droga trudna, z uwagi na kruchość skały i spadające kamienie niebezpieczna; wspaniała i groźna scenerja śnieżno-skalna.

Dr. S. K. Zaremba

NOTATKI

Zagłada Kościeliskom! Smutne, lecz prawdziwe: w samej dolinie, tuż przed Bramą Kraszewskiego, ma stanąć t. zw. schronisko. Rozwodzenie się nad tą nową zbrodnią nad pięknem tej doliny, jest chyba zbyteczne. A któż buduje to schronisko? Czy jakiś klub narciarski z Pipidówki, lub przedsiębiorstwo handlowe? Nie! Pol. Tow. Tatrzańskie z aprobatą Państw. Rady Ochrony Przyrody (sic!). Trudno w to uwierzyć.

J. P.

Nadzwyczajne Walne Zebranie Sekcji Taternickiej K. S. „Tatry", które się odbyło dnia 11 kwietnia b. r. w Zakopanem, było poświęcone specjalnie sprawom ochrony przyrody w Tatrach. M. i. uchwalono odezwę, której jednak nie przytaczamy, ponieważ została ona osobno wydrukowana. Rozesłano ją różnym osobom i instytucjom.

Nowi członkowie Sekcji Taternickiej K. S. „Tatry": pp. Lesław Berych (Zakopane), Jan Gnojek (Zakopane), Stanisław Ignacy Witkiewicz (Zakopane) i Istvan Zamkovszky (Lewocza).

„Tajemnica Tatr". Oto tytuł, a zarazem zapowiedź treści powieści, która wyszła niedawno na łamach „Głosu Narodu" (od nr. 6 z dn. 6. I. 1933 r. do nr. 145 z dnia 31. V. 1933 r.). Autorką tej górskiej powieści jest Jadwiga Roguska-Cybulska.

Jest to powieść dla młodzieży, pełna nieoczekiwanych, nadzwyczajnych przygód i wydarzeń, rozsnutych na tle Tatr. Centralnem zagadnieniem i osią powieści jest odszukiwanie tajemniczo zaginionego taternika, męża pani Wrażewskiej i ojca małego Mirka.

I snuje się ten temat graniami Orlej Perci, mgłami z widmem z Brockenu Cichej Doliny, czarnemi czeluściami Mylnej Groty, pawiooką Piarżystą, rozszalałym w czas burzy lasem Koprowej i znajduje romantyczne rozwiązanie u stóp potężnej grani Hrubego. Wszystko spowite w niewysłowiony urok świata górskiego, owiane słońcem i burzą szalejącą wśród szczytów.

Piękno przyrody zarysowuje się bardzo wyraźnie i posiada szereg niezrównanych obrazów. Do najpiękniejszych należą spadające kaskady

Siklawy, Ciemnosmreczyńskie Stawy i leśna głusza Koprowej Doliny. I co najciekawsze, że autorka, wyzwoliwszy się z więzów powieści i prowadzenia czytelnika za rękę, staje się artystą właśnie w tych drobnych obrazkach przyrody tatrzańskiej, pióro jej nabiera rozmachu, a język swoistej rytmiki. Kto wie, czy nie tutaj jej talent winien się skierować!

Książka ciekawa, młodzież znajdzie w niej *prawie* wszystko, czego szuka, a więc przygodę, fantastyczność świata i ciągłą nowość, ciągłe tempo i głód sensacji. Nie znajdzie tylko najważniejszej rzeczy jaką dają góry, t. j. radości. Bowiem powieść nosi na sobie od pierwszej do ostatniej strony cechy przeczulenia i wybujałego tragizmu, który czeka w każdym załomie skalnym, w każdej dzikiej perci, ba nawet w ogromnym, paprociami zarosłym Koprowym lesie i nawet w szałasie juhasów. Tragizm, od którego chce nas uwolnić autorka, mimowoli wypełza i okrywa wszystko poświatą romantycznej tajemniczości.

Bohaterka powieści przez cały czas wmawia w siebie, że powinna być silna, a w gruncie rzeczy pozostaje przewrażliwioną i zbyt egzaltowaną kobietą, nic dziwnego, że Mirek to zwyczajny „mamin synek". Dobry chłopiec, ale zbyt idealny, może autorka chciałaby, aby wszyscy chłopcy tacy byli? — ja nie! Bezbarwny, blady „mamin synek". Oto czołowa grupa bohaterów powieści, rzucająca ten złowrogi nastrój na całość. Gdzie zjawia się, tam pachnie tragedją i Pogotowiem Ratunkowem.

Sympatję czytelnika zyskuje inny chłopiec, odgrywający całkiem poboczną rolę w powieści, jest nim Władek Kacperski, bohater z Mylnej Groty. Mam wrażenie, że ta część powieści ciągnąca się przez Cichą Dolinę i Mylną Grotę jest najpiękniejsza i najciekawsza w całej książce.

Wartość książki w pierwszym rzędzie spoczywa w drobnych opisach przyrody tatrzańskiej. Drugie miejsce zajmują hasła, które autorka pragnie wszczepić w młodych. Do nich należy ochrona przyrody, walka o kulturę górską i apoteoza polskich Tatr. Młody czytelnik poznaje z „Tajemnicy Tatr" część Polski najpiękniejszą — z najpiękniejszemi górami na świecie. Idzie zboczami, halami, nad rozbłyszczonemi stawami, mglistemi trawiastemi upłazami, lochami grot. Przeżywa niesamowite uczucia samotnej nocy wśród gór, ucieka przed rozszalałą burzą i przysłuchuje się spowiedzi u potężnego masywu grani Hrubego. Następną zasługą jest sam fakt powieści na tle Tatr.

Bardzo słabą stroną powieści są dwie czołowe postacie: pani Wrażewska i Mirek, i jeszcze raz podkreślam, niepotrzebne przeładowanie tragizmem. Przyjemniej również czytałoby się całość, gdyby nie było rozdziałów z odnośnikami w rodzaju „miły czytelniku" i gdyby

Mirek i pani Wrażewska mieli w sobie coś z ludzi żywych, coś z Władka, czy tej panny z nad Morskiego Oka.

Brak i to bardzo silny radości, jaką dają góry i życie wśród nich. Ale to może wynika z ogólnej psychozy tragizmu. Boję się tylko jednej rzeczy, by młody chłopiec po przeczytaniu nie nabrał niepotrzebnej obawy przed Tatrami. Może mieć respekt, nawet musi w obliczu grozy i potęgi, ale nie wolno wyrabiać strachu. Człowiek znający góry, starszy, idzie chętnie za wątkiem powieści, ale wprowadza w odświeżone wspomnienia swój świat, w którym są burze, łamią się leciwe smreki, ale również świeci słońce i śmieje się każda grań, każdy staw, każda kosówka.

Lesław Berych.

„Przegląd Turystyczny“. Sposób redagowania „Przeglądu Turystycznego“, oficjalnego organu Pol. Tow. Tatrzańskiego, dziwnie przypomina w wielu wypadkach „Kurjerka“ krakowskiego — skądinąd szanowne i cenne pismo. Chodzi nam o nieścisłości i fatalne błędy w sprawach górskich, popełniane w każdym numerze. O ile jednak w „Kurjerku“ (czy w jakimś innym dzienniku), który ma kilka wydań dziennie, takie rzeczy są w znacznej mierze usprawiedliwione, o tyle w kwartalniku tak poważnego towarzystwa — i to w kwartalniku specjalizującym się w sprawach górskich — rzeczy takie zakrawają trochę na humorystykę, trochę na niedbalstwo, a są smutnym obrazem typowo polskiego braku ścisłości i dokładności.

Weźmy choćby ostatni numer: Arva zamiast Orawa, Parnicza zamiast Parnica, Varna zamiast Varin (na szczęście ta druga nazwa figuruje w nawiasie). Czas byłby zapomnieć o węgierskich nazwach na Orawie. Albo Mały Jaworowy zamiast Wielki Jaworowy i pierwsze zimowe wejście zamiast pierwsze zimowe wejście północną ścianą. Dla redaktora są to widać wszystko drobiazgi — dla nas jednak — nie!

N. T. A. I.

Pożądany krok. Jak się dowiadujemy, na ostatniem posiedzeniu prezydjum Zarządu Głównego Pol. Tow. Tatrzańskiego była omawiana akcja p. Kowalskiego i Sekcji Taternickiej K. S. „Tatry“ w Zakopanem w kierunku ogłoszenia partji Wołoszyna i Kosistej wraz z okolicznemi dolinami za rezerwat zupełny. W związku z prowadzoną przez P. T. T. od lat kilku akcją konsekwentnego kasowania nadmiernej liczby znakowanych szlaków tatrzańskich, ale zapewne też w związku z powyższą akcją — uchwalono w zasadzie znieść znakowanie turystyczne z Hali Gąsienicowej na Krzyżne, pozostawiając narazie znaki na Orlej Perci od Granatów po Krzyżne oraz zejście do Doliny Pięciu Stawów Polskich. Wobec wykończyć się mającego w b. r. zamalowy-

wania znaków na Wołoszynie i zamalowania ich w Dolinie Pańszczycy — teren pod przyszły polski rezerwat zupełny w Tatrach staje się już obecnie przygotowany w bardzo znacznym stopniu. Szczegóły przeprowadzenia powyższego planu przekazano do rozważenia Międzyoddziałowej Komisji Tatrzańskiej P. T. T.

A. T.

Ochrona szarotki jest wciąż niedostateczna. O zatrważających rozmiarach i nowych sposobach jej niszczenia ubiegłego lata pisano niejednokrotnie (np. w „Przeglądzie Turystycznym"), a zresztą jest znanym powszechnie faktem, że sprzedaż szarotek odbywa się we wszystkich najbliższych okolicach Zakopanego otwarcie i bez przeszkód (chociażby na drodze do Kuźnic). Tymczasem zrywanie, sprzedawanie i kupowanie szarotek jest podobno ustawowo zabronione. Najskuteczniejszem byłoby wyłapywanie przestępców (sprzedających i kupujących) i nakładanie na nich kar, ale wysokich. Czyż Państw. Rada Ochrony Przyrody i Pol. Tow. Tatrzańskie nie mogłyby tu coś zdziałać?

hg.

Nowe nazwy topograficzne na obszarze Tatr stwarza i wprowadza wciąż redakcja „Taternika". O ile sam fakt tworzenia nowych nazw jest zrozumiały, gdyż dla celów taternictwa trzeba ponazywać różne dotychczas bezimienne turniczki i przełączki — o tyle same nazwy muszą w licznych przypadkach spotkać się z ostrym sprzeciwem. Niektóre nowostworzone nazwy są rzeczywiście dobre, ale jest wiele nieodpowiednich, a nawet są takie, które powstały chyba wskutek jakiegoś humorystycznego nieporozumienia. Takiemu stanowi rzeczy należy zapobiec, ponieważ wiadomo, że trudno jest wyrugować raz ogłoszone nazwy (miejmy jednak nadzieję, że wiele z nich doczeka się tego). „Taternik" jest odpowiednim organem do *ogłaszania* nowych nazw, ale nie jest odpowiednim — jak niestety wykazał — do ich *tworzenia*. Do tworzenia *odpowiednich* nazw nie wystarcza trochę fantazji i wodzenie palcem po okolicach podtatrzańskich starych c. k. map sztabowych (pełnych zresztą horendalnych błędów). Należy koniecznie powołać do życia „komisję dla spraw imiennictwa tatrzańskiego", złożoną z odpowiednich znawców, któraby w takich sprawach miała decydujący głos. Dotychczasowy system już się dostatecznie skompromitował.

hh.

Druk ukończono dnia 24-go czerwca 1933 r.

Redaktor odpowiedzialny: Tadeusz Pawłowski. Wydawca: Sekcja Taternicka Klubu Sportowego „Tatry", Willa „Radosna", Żywczańskie, Zakopane.

Drukarnia Literacka, Kraków XXII, Plac Zgody 4 — Telefon 146-13.